

Mateusz Matyszkowicz: Nowakowski. Inteligencja wśród żywych

Na mieście nie udawał kogoś innego. Nie krył tego, że jest pisarzem, ale też nie robił z tego wielkiego problemu



Na mieście nie udawał kogoś innego. Nie krył tego, że jest pisarzem, ale też nie robił z tego wielkiego problemu - tekst ukazał się w Gazeta Polska Codziennie

Był pisarzem placów miejskich, dobrej kawy i zimnej wódki. Robił to wszystko, żeby móc czasem pogadać z ludźmi. To prosty i wbrew pozorom rzadki sposób uprawiania rzemiosła pisarskiego. Kiedy spotykał się, to na poważnie. Przy barze, z tematem śmiertelnie poważnym. Chodziło czasem o tekst, który nikomu nieznanemu autor z

międzywojnia opublikował w 1932 r. i odpowiedzi na niego doczekał się dopiero w latach 50. w „Wiadomościach Londyńskich”, a był synem kamienicznika z ulicy takiej, a takiej, i Żydówki z ulicy sąsiedniej. – Wiesz, oczywiście, o kim mówię? Pytał kontrolnie co dwa, trzy zdania. Nie wiedziałem.

Corso i Kaśka zamiast salonu

Marek Nowakowski, pisarz pozornie najbardziej nieinteligentki spośród żyjących twórców, otwarcie gardzący literackimi salonami, wybierający raczej wódeczkę w Corso i kawę w Kaśce – więc ten kolega żulików i złodziei, wziął na siebie zadanie, które tradycyjnie przypisywała sobie polska inteligencja. Przez wiele lat jednym z głównych zadań tej kasty społecznej było wyrwanie się z zamknięcia, w jakim się znalazła, nawiązanie kontaktu z żyjącymi i realistyczny opis rzeczywistości. Później to zarzucono na rzecz życia w przyjemnej inteligentkiej fikcji, jak z filmów Woody’ego Allena, gdzie bohaterom znany jest rynek psychoterapeutów w mieście, mają natomiast problem z podstawową empatią dla przedstawicieli innych grup społecznych. U Nowakowskiego natomiast świat stawał się spójny.

Na mieście nie udawał kogoś innego. Nie krył tego, że jest pisarzem, ale też nie robił z tego wielkiego problemu. Nie przeszkodziło mu to w nawiązywaniu trwałych i szczerych relacji. We wspomnieniach często podkreśla, że czuł dystans do kolegów, którzy chcieli swoje pisarstwo uprawiać zawodowo, negocjując coraz wyższe stawki i rozprawiając o instytucjonalnej stronie zawodu pisarskiego. On udawał, że jest na to obojętny, choć niedostatku doświadczał podobnie jak większość kolegów po fachu. W przeciwieństwie do nich przynajmniej tak bardzo się tym nie frustrował.

Dotknąć życia

Kiedy już brał do ręki pióro, najczęściej długopis – nigdy maszynę do pisania, o komputerze nie wspominając – kiedy zapisywał w ten sposób kratkowane kartki dopiero co wyrwane z zeszytu, więc kiedy pisał, to raczej zdaniami prostymi, zupełnie innymi niż te, które czytają Państwo teraz. Pisał zdaniami sprawozdawczymi i unikał komentarza. Wolał oddać głos człowiekowi ulicy, zapisać wiernie, co on mówi, dodać kilka zdań prostego opisu, że coś leży na czymś i jest koloru takiego a takiego. To mu wystarczało. Nazywano go mistrzem małych form, bo to, co wydawało mu się najważniejsze, nie wymagało wielkiego komentarza. Zawierało się w dostrzeżeniu prostej relacji między dwiema osobami, czasem problemu moralnego, czasem zasłyszanej na mieście frazy, a czasem po prostu tego, że kot sobie przeszedł i usiadł w oknie kamienicy, która pamięta jeszcze przedwojenne życie. Nie pisał traktatu o sensie życia, chociaż cała jego twórczość tego dotyczy. Wszelako, gdybyśmy dokonali analizy tej refleksji nad sensem i, jak to się mówi w filozofii, stematyzowali ten problem, przełożyli na dyskursywny język filozoficzny, wyszedłby banał. Nowakowski banałowi, jakim są podstawowe odruchy moralne i bardzo elementarne radości życia, przypisywał wielką wagę, bo choć nie zachwycą filozofa, to dotkną życia. To było dla niego niezwykle ważne. W „Piórze” i innych autobiograficznych tekstach, gdzie opowiada często o swoich literackich fascynacjach i o kolegach, których szanował za pracę, używa nieraz słowa „przylgnięcie”, pisarz ma pisać tak, by jego tekst przylegał do rzeczywistości.

Większy niż Hłasko

Był w tym Nowakowski pisarzem wiernym tradycji polskiego realizmu, z ducha Mackiewiczowy. Wydawał się uznawać jedną z diagnoz Józefa Mackiewicza, który nienawidził ideologii XX w. między innymi za to, że psując język, odrywały człowieka od rzeczywistości. Wielkie ideologie

chciały tworzyć własny język po to, by rzeczywistość zagadać i zakłamać. Praca, którą przez ostatnie kilkadziesiąt lat wykonywał Nowakowski, polegała na odkłamywaniu tego nie przez tworzenie nowego języka, ale powrót do tego, który szanuje rzeczywistość. Nie chodzi tu nawet o pojedyncze pojęcia, nie tyle o słownik, co o samo do niego podejście. W tym też Nowakowski różnił się od wielu swoich kolegów po fachu, którzy także sięgali do tematyki półświatka i zwracali się ku odrzuconym i marginalizowanym grupom społecznym. Popadali jednak przy tym w egzaltację i używali języka jako narzędzia narzucenia rzeczywistości własnego sensu moralnego i estetycznego. Nowakowski wierzył jednak, że można pisać tak, by sens moralny i estetyczny oddać, a nie nadać opisywanej materii. Nie popadł dzięki temu w pozerstwo, jakie spotkało wielu innych. Nie został też, jak wielu, którzy z nim zaczęli, zapomniany. Dziesiątki kolegów po fachu nie wytrzymały. Nie byli dostatecznie zdolni, ale pewnie jeszcze bardziej dotykała ich niecierpliwość. Nowakowski pracował cierpliwie i spokojnie.

Na samym początku swojej kariery pisarskiej denerwował się, gdy porównywano go do Marka Hłaski i nazywany był nawet Markiem Drugim. Nie chciał być tym drugim. Hłasko jednak próby czasu nie wytrzymał. Pisał zbyt krótko i zbyt niedojrzale. Nowakowski próbę czasu wytrzymał. Jego miejsce w historii literatury polskiej jest pewne i nie do zastąpienia. Przy tym, co zostawił, Hłasko stanowi zaledwie przypis.

Mateusz Matyszkowicz